

**Anna Grabowska:** – Można Pani ostatnio oglądać w telewizyjnej Dwójce, tym razem w roli „lekarza dusz”. Czy to odpowiednie określenie?

**Anna Dymna:** – Zupełnie nie wiem, jak to nazwać, bo jest to całkiem nowa rola, która mi przypadła nagle i pierwszy raz. Wniosła zupełnie nową jakość i nowy smak w moje życie. Od kilku lat pracuję z ludźmi niepełnosprawnymi umysłowo w Krakowie i chyba właśnie dlatego telewizja zaryzykowała i poprosiła mnie o prowadzenie takiego programu.

Ma on służyć temu, żeby pętki bariery, żeby dwa światy pełnosprawnych i niepełnosprawnych mogły się zbliżyć do siebie chociaż na milimetr.

Tym się właściwie nigdy nikt nie zajmował, bo za komuny jak ktoś był kaleką, to się go skrętnie chowało i problemu nie było. Teraz naszczęście się to zupełnie zmienia. Jednak wciąż okaleczeni przez los np. niepełnosprawni umysłowo, którymi ja się zajmuję, żyją gdzieś na obrzeżach naszego życia. A są to tak piękni ludzie i tak bardzo nam potrzebni. Nie zdajemy sobie z tego sprawy, że to właśnie oni mogą ożywić nasze serca, nauczyć miłości i uświadomić prawdziwe wartości. Nimi warto się zajmować i wprowadzać na co dzień w nasze życie, bo są to tacy sami ludzie jak my tylko w trochę gorszej, a często i tragicznej sytuacji. Oni mają takie same marzenia, ambicje, pragnienia jak my. Mateusz Dzieduszycki, który prowadzi w TV2 program „Spróbujmy razem”, jest koordynatorem obchodu roku niepełnosprawnych w telewizji. Razem wymyślił program „Spotkajmy się...” i razem go robimy. A nie jest to łatwe.

**A.G.:** – Słyszysz Pani o biedzie, chorobach, cierpieniu. Jakie refleksje wówczas Pani towarzyszą?

**A.D.:** – Trudno o tym mówić. Ja się cały czas boję, że komuś zrobię krzywdę jakimś głupim, niestosownym pytaniem. Moi rozmówcy są wspaniali i bardzo wrażliwi. Myślę, że właściwie dobrze, że nie jestem psychologiem, dobrze, że nie jestem lekarzem, bo mam możliwość zadawania im pytań z pozycji zwyczajnego człowieka, który naprawdę chce zrozumieć, zaprzyjaźnić się, zwyczajnie porozmawiać. Patrzę na nich, zadaję proste pytania i słucham. Nie oburzam się, nie komentuję, nie wymydzam się. Kieruję się tylko intuicją i wrażliwością.

Ale często zadaję jakieś pytanie, a potem gryzę się, że je w ogóle zadawałam, bo ono obiektywnie jest okrutne. Czasem rozmawiam, rozmawiam i w pewnym momencie mam ogromną pustkę i taką w sobie rozpacz, że nie jestem w stanie już

bić przyglupawej małpy, nawet miliony za taką rolę mnie nie motywują. Po prostu nie umiem. Jestem skażona jakimś zupełnie innym pojęciem o tym zawodzie. Czyli przeświadczeniem, że musisz kochać to, co robisz, musisz wiedzieć, po co to robisz, dla kogo, musisz budować jakiś świat, jakieś wartości.

A tu nagle dostaję propozycję, gdzie nic nie trzeba budować, tylko wpleść się w jakiś idiotyzm, bo ludzie to przecież oglądają. Gdy dostałam propozycję do programu „Willa”, gdzie miałam być zamknięta z Franciszkiem Starowieyskim, i kamery miały obserwować, co tam będziemy wyprawiać, to byłam zdumiona, że mi to zaproponowano, chociaż bardzo lubię pana Franciszka. Już nie wystarczy, że ludzie obcy są zamknięci pod obserwacją kamer i na nich wykonuje się różne eksperymenty psychologiczne. To już jest za mało, teraz byłoby fajnie, gdyby to znani ludzie robili.

I żeby zadać kłam temu, że sztuka wyższa nie jest potrzebna, powiem, że uruchomiłam w Krakowie w Teatrze Słowackiego „Salon poetycki” i co niedzielę, od dwóch lat, zbierają się tłumy ludzi i o godzinie za piętnaście jedenasta słuchają wierszy. I trudnych, i przyjemnych, i smutnych; największych poetów świata, w wykonaniu najlepszych polskich aktorów. Ludzie wchodzić za darmo. Pomaga mi w tym Teatr Słowackiego w Krakowie, mój mąż Krzysztof Orzechowski udostępnia nam za darmo piękną salę i pomaga w papierkowych rozliczeniach. Współgospodarzami są Żuk Opalski i Broniek Maj.



## Anna Dymna: – Ważne jest to, żeby zobaczyć, że się nie żyje samemu

zadac żadnego pytania, mam ściśnięte gardło i nieprofesjonalne łzy w oczach. Wtedy wołam Mateusza i on nam pomaga wrócić do rozsądnego spokoju.

Dostajemy tysiące listów. Pisze do mnie tyle ludzi zdrowych, co i chorych. Teraz jestem w takiej sytuacji, że przez ten program zostałam zmuszona do tego, aby założyć fundację. Właśnie siódmego października została zarejestrowana. Nazywa się „Mimo wszystko”. Ma na celu przede wszystkim pomoc niepełnosprawnym umysłowo. Wielu z nich na mocy nowej ustawy straciło prawo do warsztatów terapeutycznych. A niepełnosprawni, bez warsztatów terapeutycznych, bez poczucia, że jest komuś potrzebny, umiera. Mam nadzieję, że moja fundacja na to zbierze pieniądze.

Program „Spotkajmy się...” ma ogromną oglądalność, czego nikt nie podejrzewał. Zdałam sobie sprawę z tego, że spełniam w nim swoje dawne marzenia. Chciałam być kiedyś psychologiem. Jestem jednak od ponad trzydziestu lat aktorką. Ale wiem już, że aktor, który poważnie traktuje swój zawód, musi być też psychologiem, musi przecież rozumieć, motywować działanie swoich postaci. Aktorzy muszą umieć rozmawiać, słuchać, utożsamiać się z drugim człowiekiem. Gdy gram, patrzę na partnera, reaguję na niego, odbieram jego emocje. Myślę więc, że dzięki temu, iż jestem aktorką, mogę takie rozmowy prowadzić. A dzięki temu, że kiedyś byłam bardzo znaną twarzą, więcej ludzi to ogląda.

**A.G.:** – Więcej ogląda i w związku z tym więcej może zaoferować pomoc.

**A.D.:** – Są ludzie, którzy chcą dać pomoc, tylko nie wiedzą jak, bo niestety, wiele fundacji się skompromitowało. Ludzie tracą wiarygodność przez te wszystkie afery, jakie nas okraszają. Jestem osobą publiczną, od dawna pracuję z niepełnosprawnymi i ludzie mi ufają. Zadzwoniła do mnie kiedyś kobieta i powiedziała, że chce mi przekazać dwadzieścia tysięcy złotych, bo ja będę wiedziała komu pomóc. Zaproponowałam, aby te pieniądze przekazać dla Towarzystwa Walki z Kalectwem w Opolu, gdzie jest taki chłopak, który nie chodzi, a mieszka na wysokim parterze bez windy i bez pomocy osób trzecich nie może wyostać się z domu. Dzięki tym pieniądzom i pomocy PEFRONU Adaś ma teraz remontowane mieszkanie i będzie miał windę. I będzie wolny jak ptak wypuszczony z klatki!

**A.G.:** – Jakiej roli by Pani w ogóle nie zagrała?

**A.D.:** – Wiele jest takich ról, dla których szkoda czasu. Teraz na przykład zastanawiam się nad reklamą, ale cały czas wydaje mi się, że jak będę reklamować sieć sklepów i będę wisiała na billboardach, to ci moi rozmówcy nie będą chcieli ze mną rozmawiać, że stracą do mnie zaufanie. Wydaje mi się, że ta moja twarz szybko się zużyje, a tak może się jeszcze przydać w jakimś szlachetniejszym celu. Dostaję mnóstwo takich propozycji, których w ogóle nie powinniśmy dostać, bo nie mają nic wspólnego z prawdziwym aktorstwem, a ja nie umiem z siebie zro-

bić przychodzą ludzie, których nie stać na uczestnictwo w sztuce, w kulturze w ogóle. Nigdy nie mieliśmy jeszcze pustej sali. Ludzie siedzą na korytarzach i słuchają, i to jest budujące. Być może to jest na małą skalę, ale już otworzyliśmy taki „Krakowski salon poezji” w Gdańsku – jestem matką chrzestną, taki sam w Tarnowie i teraz otwieram w Częstochowie. Szczecin już czeka. W Tczewie jest ogród poezji.

**A.G.:** – Czy jest coś, co Pani w życiu umknęło?

**A.D.:** – Dużo rzeczy nam umyka. Są takie rzeczy, które od nas nie zależą, czyli tak zwany los. Gdybym o tym miała mówić, to oczywiście, że wiele rzeczy bym chciała cofnąć, chciałabym, żeby wiele się nie wydarzyło. A jeżeli chciałabym mówić o wyborach, jakich dokonuję, to całe życie kieruję się w pewnym sensie intuicją. Był taki czas, kiedy mogłam robić karierę na Zachodzie, ale nie chciałam, bo musiałabym stracić coś, co tutaj było dużo ważniejsze. Tu jest moje miejsce, tamto było mi obce i właściwie niepotrzebne. Nigdy w życiu nie zrezygnowałam z Krakowa, nie poszłam do Warszawy. Niedobrze jest tak analizować swoje życie, bo człowiek, który to robi, musi być zgorzkniały, musi czegoś żałować, a ja uważam, że skoro mam pięćdziesiąt dwa lata i ciągle mi się chce wstawać rano i kochać ludzi to, to jest największe zwycięstwo. Mam dziecko, mam dla kogo żyć. Nie umiem tak rozpatrywać. Mój mąż umarł, jak miałam dwadzieścia siedem lat, byłam wtedy w pełni rozkwitu kobiecości, grałam główne role w filmach, mogłam mieć facetów, jakich chciałam. Mogłam być w Ameryce multimilionerką, ale to w ogóle nie byłabym ja.

**A.G.:** – Święta tuż-tuż. Lubi Pani Boże Narodzenie?

**A.D.:** – Uwielbiam święta. Święta to tradycja, a tradycje są takim naszym kręgosłupem ratunkowym. To jest coś takiego, co nam porządkuje życie. Nawet gdy w rodzinie ludzie nienawidzą się, to na święta spotykają się przy stole, albo przynajmniej mają taką szansę. W tamtym roku, przed świętami Bożego Narodzenia robilam już od września anioły do „Salonu poezji”. Robili je też mój bratanek i bratanica, brat, bratowa, syn i wielu przyjaciół.

W tym roku przyszło mi do głowy, żeby może szpeczki zrobić. I choć to dużo roboty, ale to są takie godziny, które spędza się przy stole razem. Kupujemy wino i bakalie, rozmawiamy, śmiejemy się i kleimy cudeńka... to już taka tradycja rodzinna. Raz u brata jest wigilia, raz u mnie. Robimy wszystkie potrawy takie same od pokoleń... Ale najpierw zawsze się idzie na cmentarze, a niestety coraz więcej mam tam znajomych. I potem dopiero zabieramy się do naszych świąt. Moja mama nie żyje, więc ja przejęłam funkcję takiej kobiecej głowy domu. I teraz ja najlepiej robię kutię.

**A.G.:** – Dziękuję za rozmowę i życząc miłych rodzinnych świąt.